



ROBERT ERES
K L A T W A



ROBERT ERES

K L A Ź T W A



WYDAWNICTWOJ / WROCŁAW 2020

FRAGMENT 1

Latem 1942 roku zrobiło się niebezpiecznie i opresyjnie. Ludzie stali się jeszcze gorsi przez tę wojnę. Nie ufali sobie. Patrzyli na siebie wilkiem. Zdradzali jeden drugiego. Myśleli już tylko o tym, jak przetrwać. Pewnego upalnego, sierpniowego dnia w całej Galicji rozpoczęto akcję pacyfikacyjną, mającą na celu ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. Nic dziwnego, że mówiło się o tym w całej okolicy. We wsi również. Nie wiadomo, kto pierwszy zasugerował, że rodzina Lesiaków ukrywa żydowskie dziecko.

FRAGMENT 2

– Muzyka i sport – spiker idealnie wpasował się leniwie obniżonym głosem w rytm miasteczka.

Brzmienie country. Jakby wiedział, że popłynie przez ten upał, w ostrym słońcu, kurzu i pyłe niesionym nie wiadomo skąd. Ci dwaj w wojskowych mundurach ze znaczkami jednostki powietrznodesantowej wpasowali się równie idealnie. Przekrzywione czerwone berety to nie kowbojskie kapelusze, ale odpięte pasy okręcone wokół dłoni z klamrami zwisającymi kilka centymetrów to już broń. I te napięte, wychudzone twarze, bliźniaczo podobne. Zdeterminowani. Wyglądało to obiecująco. Nikogo nie obchodziła już piosenka. Ciekawsi byli przybysze. Wyraźnie na kogoś czekali. Nie weszli do knajpy. Musieli sporo wiedzieć. Jeden jakby swój, Janek z pobliskiej wioski. Tylko jakiś wyższy. Drugi obcy. Ale pewności nie było. Ludzie w mundurach są do siebie podobni. Pewnie obaj obcy. Swój wiedziałby, że stać w tym miejscu w taki sposób to nie jest dobry pomysł. A jeśli obaj obcy, to czy ktoś z miejscowych powiedziałby im, że Raba ma nieformalnego właściciela? Że rządzi nią Kapsel, lokalna gnida, recydywista i bandzior? Ludzie nie odchodzili z lodziarni zbyt daleko. Szukali

cienia i dobrego miejsca z widokiem, niezbyt blisko, ale takiego, żeby nic im nie umknęło. Piosenka się skończyła albo tylko ktoś wyłączył tranzystor, żeby lepiej słyszeć. To się musiało jakoś rozegrać.

Lody w kolorze malin spływały już po rękach, na szczęście mundurowi i cywile nie czekali zbyt długo. Z otchłani cuchnącej przepalonym tanim tytoniem na kartki i wodą wyłonił się właśnie on, dwumetrowy, dobrze wypasiony gad. Pogładził swój wywalony zarośnięty brzuch, przetarł spłaszczony nos. Zaraz potem wykonał ten swój magiczny gest. Starannym ruchem wyciągnął z tylnej kieszeni mały niebieski grzebyk. Zaczesał w tył czarne, tłuste kędziory. A wszystko z nieruchomym ekstra mocnym w kąciku ust. Nie spadł mu nawet płatek popiołu. Mistrz. Przymrużył oczy i na widok tych dwóch zaprezentował swój znany kozacki uśmiech. Brak jedyńki poczytywał raczej za swój walor.

– To ten? – spytał wyższy z dwójki, niemal nie poruszając ustami.

Nie musiał pytać.

– Ten.

Kościelny dzwon uderzył jako echo. Ten, ten, ten.

FRAGMENT 3

Kobiety wcale nie musiały odchodzić daleko. Dwie godziny marszu. Marianna Lesiak z tym niby-partyzantem ze swojej wsi doprowadzili je do bacówek. Zwyczajne bacówki, sklecone byle jak z wyschniętych i popękanych drewnianych bali. Nieobtykane. Bo juhasi korzystali z nich tylko wiosną i latem. Na wypasy. Wiadomo, w jakim celu. Może i dobrze, że nieobtykane, bo dym z ogniska tylko trochę szczypał w oczy. Rozsiadły się dookoła. Ognia pilnowała Marianna. Wszystkie kobiety na ten trudny czas jakby się jej podporządkowały. Czuła swoją siłę. Dumna patrzyła w strzelające iskry i ignorowała rozświetlone ogniem twarze doktorowych, magistrowych, pułkownikowych. A one nawet już się nie

skarżyły w tych swoich bucikach dobrych do kościoła. Marianna ucięła wszelkie utyskiwania jednym zdaniem. „Bieda i nieszczęścia wszystkich upodabniają do siebie”.

Rzeczywiście, wyglądały żałośnie. Owinięte chuściami, kocami, jeśli któraś miała. Dygoczące. Zmarznięte i brudne. Marianna nie wyglądała może dużo lepiej, ale to wypowiedziane przez nią zdanie wydawało jej się jednak nieprawdziwe. Wszystko minie i one wrócą do swojego życia. A co będzie z nią? Co ją czeka? Ostatnie lata zmieniły jej życie na zawsze.

– A ci Ruscy to dadzą nam wolność czy nową okupację? – spytała któraś. – Nie siedzimy tu bez powodu – odpowiedziała sama sobie.

– Następna bieda się szykuje, jak tu zostaną bolszewicy.

– To my z tego lasu chyba nigdy nie wyjdziemy.

FRAGMENT 4

– W szkole o pieniądzach to było tylko na dodawaniu.

Czytelnia miała swoje zasady. Żadnych kobiet. Męski klub. Męski świat. Weszli w głąb sali. Ze szklaneczkami whisky w dłoniach. Jak znawcy. Jak ważni goście. Już pełnoletni. Wrzesień, za miesiąc rozpoczną studia w Krakowie. Żal będzie to zostawić. Widok uroczy, gdy ktoś lubi te klimaty. Sala zamglona. Tyle siwego dymu, ile mogło się tylko zmieścić. Jak mgła, jak tuman na bagnach. Nikt wtedy nie myślał o tym, że trzy czwarte bywalców umrze po latach na raka. Kto słyszał o biernych palaczach? Ludzi dzielono raczej na palących i dziwaków. Franky i Czester też nie słyszeli. A dziwakami być nie zamierzali.

Wbili się w dym. Zasysając zapach i chłonąc atmosferę. Z każdym krokiem coraz bardziej zadowoleni. Lampowy adapter grał Franka Sinatrę: *My way*. Tu

wszystko do siebie pasowało. Każdy z obecnych wystrojony w amerykańskie ciuchy. Tweedowe szaroniebieskie garniaki. Czarne skóry, białe golfy i koszule non-iron. Zaczესani do tyłu. Brylantyna. Na ścianach zdjęcia ulic Nowego Jorku. Zapach perfum. Ale nie Przemysławki. Nikt nie zalał ruskim mydłem. Yardley, old spice. Same dobre wody. Kilka stolików ustawionych pod ścianą. W tym miejscu gra w karty to poważna sprawa. I nie dla byle kogo. Lekarze, adwokaci, rzemieślnicy. Prywaciarze. Kapusie. Administracja państwowa. UB incognito. PRL w pigułce. Odwrócony ludowy trend. Amerykańska zgnilizna. Gry także. Żadnej wojny, wyścigu pokoju czy makao. Same poważne. Obowiązkowo remik, czasem nawet dobierany, lub dwadzieścia jeden. Na środku ustawiono to cudo. Piękny przedwojenny mebel. Ciemnobrązowy. Trochę obdarty przez czas. Trochę zniszczony, staroświecki, masywny stół bilardowy. Wokół lekko podpici panowie. Jeden smaruje kredą końcówkę kija. Inny właśnie przymierza się, by precyzyjnie walnąć w bilę. Gdyby to nie było M., można by pomyśleć, że przez przypadek rzeczywiście trafili do mafijnej meliny w samym środku Chicago.

FRAGMENT 5

To był piękny, mroźny, styczniowy poranek. Niedziela. Wstała o szóstej rano, by z grupą przyjaciół dotrzeć jak najwcześniej na Kasprowy Wierch. Kolejką. Udało się. Plan był prosty, ale szalony. Zjechać z Kasprowego, nie zatrzymując się, nie zwalniając, nie przenosząc nawet ciężaru ciała z nogi na nogę. Niewiele osób mogło pochwalić się takim wyczynem. Wcześniej wciągnęła krechę. No i poszło. Czas płynął zupełnie inaczej, przestrzeń stała się czymś innym. Wiki też się stała kimś innym. Kilkukrotnie była na krawędzi. Mięśnie nóg paliły. Narty trzymała niebezpiecznie szeroko, tyłek niebezpiecznie nisko. Zjechała. Damian, jeden z jej kolegów, czekał na dole. Machał do niej i wrzeszczał.

– Jesteś nieźle popieprzona! Mogłaś się zabić albo połamać!

– Zamknij się ! Podejź do mnie...

– No nie wiem... Boję się, jesteś tak nakręcona, para z ciebie leci jak z młodego byczka.

– Chodź tu i nie podskakuj. Bo stracę cierpliwość.

– Ty nie wiesz, co to cierpliwość. Ty nawet nie stałaś nigdy koło cierpliwości.

Podszedł do niej. Nigdy dotąd tak się nie czuła, cała roztrzęsiona, ale szczęśliwa. Pomógł jej odpiąć narty. Rzuciła kijki, złapała go za rękę i pociągnęła do zagajnika. Ogień. To właśnie poczuła. Tam. Brnąc przez głęboki śnieg. Odeszli wystarczająco daleko od trasy. Ciężkie narciarskie buty wbijały się w białą skorupę. Sapała. W końcu uznała, że miejsce jest dobre. Zdarła z niego kurtkę.

FRAGMENT 6

Brązowo-czarnej maści. Piękne, zdrowe, silne. Potężne łapy. Szczerzyły kły. Ujadały groźnie i dumnie. Wpatrzone w swoich panów. Owczarki niemieckie. To pierwsze, co usłyszeli. Ujadanie psów. Warty rozstawione były szczelnie. W okolicach dworca kolejowego w M. nikt by się nie prześlizgnął. Pobielony budynek dworca. Murowany, ale malutki. Zbudowany jeszcze z rozkazów cesarsko-królewskich. Podstawiono skład. Ogiemną lokomotywę, czarną, bijącą z komina gęstym dymem. Podłączono wagony towarowe. Bydlarki cuchnące łajnem. Podłogi wyłożone sianem. Czekają. Jeszcze puste. Na niebie pojawiła się na chwilę dziwna chmura. Kształtem przypominająca anioła. Później już tylko błękit. Słońce jak potężny reflektor na planie filmowym. Żeby wszyscy widzieli wyraźnie. Potem uderzył ich smród i zaduch: mieszanina potu, moczu, kału i strachu. Czuli to. Wyraźnie. Jan Moreoux i jego towarzysze. Wszystko odbyło się tak nagle, a do tego ten potworny strach, który grzął gdzieś pomiędzy

podbrzuszem a gardłem i paraliżował, wysyłając do mózgu Moreoux pytanie: czy dokonałem słusznego wyboru?

Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak jedna wielka przeprowadzka. Jakby ktoś zorganizował Żydom obowiązkowy wyjazd kolonijny nad morze. Na wakacje. Jednak tamtego sierpniowego dnia w powietrzu, w trupich twarzach żołnierzy SS, okrzykach, w ujadaniu psów, w tym zgrzycie, któremu towarzyszył łoskot nadjeżdżającego parowozu wylaniającego się z wielkiej chmury pary wraz ze składem, było coś potwornego. Niemającego nic wspólnego z radosnym nastrojem wakacyjnym. Coś nieokreślonego, czarnego i zgniłego. Napiętego do granic możliwości. Złego. Cuchnącego, jakby pochodziło z zaświatów. Moreoux wraz ze współaresztowanymi z przerażeniem obserwował plac. Niepewny i odurzony strachem. Dławił się nim. Myślał, że całkiem zgłupiał. Że nie wiadomo, o co teraz walczy. Upór? Zły był na siebie za ten upór. A może po prostu zrobił to, co trzeba? „Tak, postąpiłem jak trzeba” – ta myśl go uspokajała. „Tylko żebym, Boże, do końca wytrzymał, nie wymiękł. Już niedługo”.

